


LUBELSKA GAZETA TEATRALNA / Maj 2015 / NR 3

PROSCENIUM



ROZMOWA Z KAROLINĄ ROZWÓD
BITWY O KULTURĘ I LITERATURĘ
REPORTAŻ O GARDZIENICACH
RECENZJE SPEKTAKLI:
ONY / PROSZĘ SŁONIA

PRZENIKLIWY FOTOGRAF

BARTŁOMIEJ MIERNIK



fol. Michał Bauczek

Właśnie wydany *Staniewski. Gardzienice. Antyk* to wyjątkowy album. Przykuwają wzrok zdjęcia ukazujące emocje związane z ruchem i śpiewem. Ich autor, Krzysztof Bieliński, potrafił nie tyle zatrzymać ruch, co ledwie go przytrzymać, dosłownie na sekundę. Naiwnie wierzę, że po przewróceniu kartki widoczna na zdjęciu aktorka uderzy w bęben, a Mariusz Gojał powróci do ostrzenia dwóch mieczy. Tu ruch, minę, gest zmysłny fotograf zatrzymał na chwilę.

Charakterystyczne są w albumie wyjątkowe kompozycje zdjęć. Ma się wrażenie, jakby autor odczytywał te gardzieniczne spektakle na nowo, jakby sam tworzył swój własny kosmos Gardzienic. A zaskakujący to kosmos, przenikliwie zinterpretowany w różnorodnych kompozycjach. Dominują kolory z greckich waz, zdjęcia przepalone czerwienią wygiętych w paroksyzmie rąk, zdjęcia włosów puszczonej w nieładzie. Tu każde ujęcie kipi emocją.

Na długo zapamiętam nieme maski z *Elektry*, ale najpiękniejsze kadry, które zostaną mi pod powiekami to te z *Ifigenii w T.* Dominujące kolorem, zachwycające dynamiką. Z jednego z nich postanowiłem zrobić okładkę numeru, który właśnie trzymacie Państwo w rękach. W odbiorze albumu najbardziej przeszkadzają słowa odrezyserskich komentarzy, wprowadzają zbędną szum.

Fotografie Bielińskiego oglądam od wielu już lat. Kiedyś pisałem, że potrafi fotografować ciszę. Z tego albumu dowiedziałem się, że stał się głęboko świadomym interpretatorem przedstawień. Swoje nowatorskie eseje pisze obiektywnie. Spójrzcie na spektakle Gardzienic jego oczyma. Zachęcam, bo warto. ■

Bartłomiej Miernik – absolwent wiedzy o teatrze Akademii Teatralnej w Warszawie.



fol. Dorota Awraamko-Klimek

T JAK TEATR. POWIEŚĆ TEATRALNA

MAGDALENA KUSA

ODCINEK 3. Z PAMIĘTNIKA GARDEROBIANEJ, ROK 1886

Mój kochany pamiętniku,

kto by pomyślał, że na stare lata pisać się przyuczę. A to dzięki tym paniom, co to mówią, że kobiety równe są mężczyznom i samodzielne być mogą. Po prawdzie umiałam ja to, jak dzieckiem byłam, papa mnie uczył, bo mądry był – inżynier, ale papa zginął w tym powstaniu, to ja jeszcze mała byłam, a na wsi zostałam, to czasu na takie rzeczy nie było. A potem przyjechaliśmy ze Staśkiem do miasta, ach co to była za zmiana. I w teatrze pracę dostałam, w tym, co papa budował. Wtedy to jeszcze pani Julia tu z mężem wszystko remontowali i pamiętki zbierali. Ach, i Staśka też już nie ma, w tej partyzantce zaraz w zimę powiesili. Co to za czasy teraz mamy – wieczna żałoba. I o teatrze też się pisało, że niedobry, że nowy trzeba, a kto to wtedy o teatrze myślał, chyba te redaktory! Teraz to pan Romuald rządzi i też dopiero co dach skończyli robić i takie cudenka na suficie wymalowali. A ludzi to tu tyle teraz, że i na podłodze i nawet na piecu ostatnio siedzą. Ale co się dziwić. Jak tu takie sławy przyjeżdżają. Sama Modrzejewska zza oceanu przyjechała. Ale Ci aktorzy to i wielcy i kapryśni tacy. Był tu taki pan Bolesław. Z psem zawsze jeździł i raz ten pies zjadł tekst, co sufler miał podpowiadać i ten pan aż spektakl odwołał, co to za afera była! Jezus! Albo to nie lepiej się było roli nauczyć? A mój kochany Ludwiś, to teraz dyrektorem w Galicji jest. Ach ten Ludwiś. Taki fasuch. Zawsze tu, w garderobie, trzeba było nie kostium, tylko ciastka szykować, a szarlotkę to już zjadała pasjami, z cukrem pudrem. Raz w kawiarni to

opowiadał, że mu koledzy posolili tę szarlotkę, ale i tak zjadł i poznać po sobie nie dał. I ślub był w katedrze, z Michaliną. I on jej pseudonim przyjął za nazwisko i się teraz Solski nazywa. To tak nie po bożemu trochę po kobiecie i jeszcze pseudonim, ale to artyści, to muszą inne być. Ach, co tu się przez te lata nie działo. I nawet kolej położyli. Takie jakby płozy żelazne na drewnianych deskach i po tym takie jakby długie bryczki jadą, a tak szybko, że ani się człowiek nie obejrzy, jak na miejscu jest, bo to ten angielski wynalazek na parę to napędza. I z Warszawy do Kowla można przez nasz Lublin jechać. A teraz to wszyscy czekamy, bo do nas ma taki znany aktor przyjechać zagraniczny, znany wszędzie, i czarny do tego – jeszcze w życiu nie widziałam Murzyna, ale co się dziwić, że taki opalony, jak to taki upał w tej Afryce podobno, że by człowiek nie wytrzymał. A te hece to pewnie dlatego, że tu pod nosem nam drugi teatr otwierają. Przemysłowcy spółkę zawiązali i wybudowali. Mało im, że na piwie interesy robią? ■

Magdalena Kusa – absolwentka historii i filologii polskiej UMCS.

Zespół redakcyjny: Bartłomiej Miernik (redaktor naczelny), Paulina Niedziałek (sekretarz redakcji), Magdalena Kusa, Martyna Zięba, Teresa Kmieć, Maciej Bielański, Luiza Nowak, Marlena Jonasz, Paulina Sulowska, Maja Ostrowska, Alicja Matwiejczyk, Anna Kołodziejczyk (korekta), Przemysław Piaseczny (Facebook)

Współpraca: Janusz Łagodziński, Łukasz Witt-Michałowski

Skład i DTP: Katarzyna Długosz

Wydawca: Warsztaty Kultury w Lublinie

Kontakt: ul. Grodzka 5 A, 20-112 Lublin
gazetaproszeniem@gmail.com

Druk: Drukarnia Akapit

Nakład: 700

Na pierwszej stronie okładki wykorzystano skadrowane zdjęcie autorstwa Krzysztofa Bielińskiego z „Ifigenii w T...”, zamieszczone w albumie „Staniewski, Gardzienice. Antyk” (na zdjęciu Agnieszka Mendel).



WARSZTATY KULTURY

GARDZIENICE

TERESA KMIĘĆ



foto: Krzysztof Białeński

Hania ma metr pięćdziesiąt w kapeluszu (czarnym) i głowę pełną marzeń o szkole teatralnej. Ma też bilet kolejowy z trasy Słupsk-Lublin i trochę drobnych. Na busa do Gardzienic i bilet w Kosmos.

Jesteśmy gdzieś na końcu świata, gdzie diabeł już dawno powiedział swoje „dobranoc”, a ptaki zawróciły trzy wioski wcześniej. Kiedy docieramy do wielkiej bramy, za którą widnieją oświetlone alejki, siedemnastowieczne budynki, stare drzewa, czasem przemknie gdzieś postać w długiej sukni – mamy wrażenie wejścia w inny świat. Tutaj czas płynie wolniej. Tutaj nawet księżyc świeci jakoś inaczej. Bo tam, gdzie kończy się świat, zaczyna się Kosmos.

Maraton *Kosmos Gardzienic* zaczyna się od spotkania aktorów i widzów w wiejskiej izbie. – Wypiański miał rację, teatr należy robić w chacie – mówi Włodzimierz Staniewski, gardzienicki *spiritus movens*. – Tu, w chacie, wszystko żyje, może za oknem zobaczymy Rachelę czy Chochoła?

Siedzimy z Hanią na długiej drewnianej ławie i ukradkiem zerkamy przez okno. Ale nic z tego – jeśli Chochoł czy Rachelę mieli tu przyjść, to chyba wybrałyśmy niewłaściwą noc. A może dotrą później, kiedy już rozpocznie się całe teatralne misterium? Może jeszcze wciąż jest tu zbyt normalnie, zbyt współcześnie, może gardzienickie czary nie zaczęły jeszcze działać?

Czekamy więc, słuchając komentarza Staniewskiego. – Wiesz, kim jest kosmopolita? – pyta chłopca siedzącego w pierwszym rzędzie. – To ktoś, kto wie, że skoro ojczyzna jest jego matką, to musi być gdzieś ojciec, więc szuka go – mówi

wieloma językami, takim kulturowym esperanto i wie, co się dzieje na świecie. – Bo teatr Gardzienic, choć dzieje się w polskim pałacu na polskiej wsi, więcej ma wspólnego z rzeczywistością odległą o tysiące kilometrów i lat. Podstawą tworzonych spektakli jest bowiem teatr starożytnej Grecji, z jego muzyką, tekstami, ruchami. Więc to tam szukamy ojca?

Gardzienice – warto ciągle to podkreślać – to sztuka w przestrzeni. Tutaj ważne jest przemieszczanie się, wchodzenie do kolejnych miejsc. Przechodzimy pomiędzy rzeźbami, wykopaliskami archeologicznymi, przez niezliczone schody, alejki, korytarze... aż wreszcie dochodzimy do sedna – jest piętrowa scena, widownia, będzie i spektakl.

Włodzimierz Staniewski zapowiedział go już w chacie – to *Ifigenia w Taurydzie*, połączenie historii mitycznej córki Agamemnona z losem Ukrainy (co nie jest wcale sprzeczne ze sobą, przecież dzisiejszy Krym to właśnie Tauryda) w estetyce momentami bliższej raczej *Golgotcie Picnic* niż oryginalnemu dziełu Eurypidesa, nie mówiąc już o późniejszych interpretacjach – teatralnej Goethego i operowej Glucka. Ale o to właśnie chodzi – w gardzienickim Kosmosie antyk spleta się ze współczesnością, mity z chrześcijaństwem, Grecja z Polską, ofiara z polityką. A wszystko oplecione ruchem, fizycznością, muzyką. To już nie aktor odgrywa rolę, to rola bierze w swoje posiadanie jego ciało i głos, rządzi nim, targa, prowokuje do gestów wręcz pozaludzkich, do napięcia wszystkich mięśni, do poddania się światu, który ogniskuje się na scenie. Jest mrok, krzyk i epileptyczne ruchy ciała.

Przerwa, wracamy do chaty – swójski gwar, ogień, pierogi. Grupa przy drzwiach zaczyna śpiewać jakąś ludową pieśń. Nikt się nie spieszy, bo i nie ma po co. Tutaj czas przecież płynie wolniej.

Na *Oratorium pytyjskim* siadam w pierwszym rzędzie. Scena jest wielka, dużo głębsza od poprzedniej. Gdzieś daleko majaczy ekran z tłumaczeniami greckich tekstów śpiewanych przez aktorów, choć – czy naprawdę jest to potrzebne? Tutaj najważniejsze rzeczy dzieją się w sferze dźwięku i ruchu. Postaci na scenie całe są w sztuce, od podeszew po koniuszki włosów, śpiewają i krzyczą wszystkimi mięśniami twarzy, nawet wzrok jest podporządkowany temu, co się dzieje na scenie, jakby byli w jakimś amoku czy szaleństwie.

Po katartycznych przeżyciach trzeba jednak wracać do świata. Jak to zrobić po takiej dawce nieziemskości i niesamowitości? Oczywiście – przez teatr. Akademia Praktyk Teatralnych „Gardzienice” pokazuje *Budowniczego z Solness* na kanwie dramatu Henryka Ibsena. Tu już nie ma miotania się i dzikich ruchów – są teksty, aktorstwo, jest spokojnie, prawie klasycznie. To już bliższa nam kultura, bliższa temu, co zastaniemy za murami Gardzienic. To świat z jego normalnymi troskami. Tu nikt nikogo nie składa w ofierze, a największym problemem jest – jakże banalna na tle mitycznych tragedii – nieszczęśliwa miłość.

Wyjeżdżamy z Gardzienic. Kosmos zamyka za nami swoje drzwi. Zaspia i czeka na kogoś, kto przyjedzie tu za miesiąc i pierwsze kroki skieruje do chaty. Bo teatr należy robić w chacie. ■

Teresa Kmieć – absolwentka ekonomii na KUL i studentka muzykologii tamże.

NASZ REPERTUAR MUSI BYĆ RÓŻNORODNY

Z KAROLINĄ ROZWÓD, DYREKTOR TEATRU STAREGO W LUBLINIE, ROZMAWIA BARTŁOMIEJ MIERNIK



foto: Wojciech Nieśpiłowski

Jaką widownię przyciąga eklektyczny repertuar Teatru Starego? Bo przyznam się, że na spotkaniach z cyklu „Bitwa o kulturę” większość miejsc zajmowali studenci i emeryci. Natomiast na spektakle, jak zauważyłem, przychodzi raczej zamożniejsza klasa średnia.

W większości są to widzowie około czterdziesto-, pięćdziesięcioletni, a nawet starsi. Cieszę się, że wśród naszych widzów jest spora grupa osób, która wcześniej znacznie rzadziej uczestniczyła w wydarzeniach kulturalnych. Są tacy, którzy przychodzą przede wszystkim, żeby zobaczyć gwiazdy ale są też tacy, którzy przyzwyczaili się do tego miejsca, chodzą na różne wydarzenia, odwiedzają nas regularnie i dopytują o repertuar ze sporym wyprzedzeniem. W dużej mierze są to stali widzowie, chociaż oczywiście nie jest to zamknięta grupa. Wśród nich są nauczyciele, adwokaci, lekarze, przedstawiciele środowiska prawniczego i biznesowego. Ale są też emeryci i coraz częściej – studenci, bo mamy zróżnicowane ceny biletów. W tej chwili wprowadziliśmy jeszcze miejsca stojące, obniżając cenę aż osiemnastu miejsc dawnej trzeciej strefy, z których jest najgorsza widoczność i scenę można zobaczyć jedynie z pozycji stojącej. Zrobiliśmy to również po to, żeby można było kupić bilety za jeszcze niższą cenę. Zresztą sama, studiując, bardzo często kupowałam najtańsze miejsca i stałam w trakcie spektaklu. Młodzi ludzie korzystali z miejsc stojących na koncercie pani Ireny Santor. Ich obecność była dla nas sporym i miłym zaskoczeniem.

Czy są to widzowie na co dzień uczęszczający do Centrum Kultury?

Myślę, że są wydarzenia takie jak

spektakle Janusza Opryńskiego czy Lubelskiego Salonu Artystycznego, które mają wspólną widownię, ale nasza publiczność w większości różni się trochę od publiczności Centrum Kultury. Takie zresztą było nasze założenie – nie chcieliśmy się z nikim ścigać, tylko uzupełniać ofertę kulturalną w mieście. Prezentujemy teatr głównego nurtu, szczególnie z innych miast, którego było stosunkowo mało. Chcieliśmy tę lukę wypełnić.

Dobrze, że wspomniała Pani o cenach biletów, ponieważ przyznam się, że byłem na niewielu spektaklach w Pani teatrze, głównie ze względu na ceny biletów. Kiedy kontaktowałem się z młodymi osobami z naszej redakcji, to mówiły mi, że właśnie to ich odtrąca. Skoro macie na widowni sto dwadzieścia miejsc...

...sto sześćdziesiąt pięć, a tych najlepszych jest sto dwanaście, więc jest ich bardzo mało.

To niewiele się pomyliłem. Czy ta cena biletów naprawdę musi być aż tak wysoka? To jest też pytanie, o którego zadanie poprosiło mnie kilkunastu licealistów i studentów.

To zależy, co rozumiemy pod pojęciem „tak wysoka”. Kiedy ustaliśmy ceny biletów, staramy się, żeby nie były one wyższe niż w macierzystym teatrze. Jeśli ktoś chce jechać na spektakl na przykład do Warszawy, musi zapłacić nie tylko za bilet do teatru, ale też za dojazd i często za nocleg. U nas płaci tylko za bilet. Staramy się nie przekraczać tej granicy. Wpływy z biletów są dla nas bardzo ważną częścią budżetu, bez której nie moglibyśmy tak prędko działać. Obecnie najtańsze bilety na spektakle kosztują piętnaście złotych, a na koncerty nawet dziesięć,

czyli o połowę mniej niż bilet ulgowy w multipleksie.

To jednak wyjątki. Większość biletów jest znacznie droższa. Wie Pani, są też mniej zamożni studenci.

Zgadza się. Ale myślę, że piętnaście czy dwadzieścia złotych za bilet to nie jest cena zaporowa.

Mając tego typu, jak pani zauważyła, raczej biznesową widownię, chyba słusznie kieruje Pani zainteresowanie na twarze, na artystów znanych i rozpoznawalnych. Zaprasza Pani – z racji wielkości sceny – spektakle małoobsadowe, głównie warszawskie. Podobnie jest z artystami i tematami spotkań. Zacząłem się zastanawiać, czy Teatr Stary nie staje się kolejną warszawską sceną impresaryjną z siedzibą w Lublinie.

To, że Teatr Stary jest sceną impresaryjną, jest jasne. To wynika z założeń miasta, tak zostało napisane studium wykonalności. Opinia o tym, że tutaj pokazujemy tylko spektakle warszawskie bierze się zapewne z pierwszych czterech miesięcy działalności, w których program był rzeczywiście mocno gwiazdorski. Ta strategia była celowa, bo po pierwsze chcieliśmy, żeby o nas pisało, a po drugie pragnęliśmy, żeby widzowie do nas przyszli. Jak najłatwiej sprawić, żeby przyszli? Zaprosić znanych, lubianych aktorów, których chcą zobaczyć. W dodatku jest to kameralne miejsce, w związku z tym można być blisko tych aktorów. I faktycznie przez pierwsze cztery miesiące były u nas Teatr Polonia, Teatr IMKA czy pan Andrzej Seweryn. Ale już w ciągu tych pierwszych czterech miesięcy zaznaczyliśmy, że będą u nas gościć nie tylko spektakle warszawskie, pokazując Żywyoty



fol. Dorota Awonko-Klimek



Machia, fot. archiwum Teatru Starego w Lublinie

świętych osiedlowych niezależnej grupy z Wrocławia. Ku mojej radości spektakl był fantastycznie przyjęty. Później zaczęliśmy zmieniać proporcje. Już w drugim sezonie pojawił się Teatr Nowy z Krakowa, Teatr Bagatela ze *Sprzedawcami gumek*, grupa z Badowa. To była celowa strategia – chcieliśmy, żeby publiczność do nas przyszła, zaufała nam i później zechciała chodzić nie tylko na „gwiazdy”. Zależało nam, by ludzie zechcieli chodzić do Teatru Starego, bo Teatr Stary ma określony profil.

Jaki to jest profil? Jak by go Pani nazwała?

Nie do końca lubię określenie „teatr środka”, bo każdy rozumie pod tym pojęciem co innego, ale, mimo wszystko, jest mi chyba do niego najbliżej. Podstawowym wyznacznikiem doboru repertuaru jest zawsze jakość. Za nią odpowiadają nasi kuratorzy. Jesteśmy świadomi, że istnieją wysokiej jakości spektakle z nurtu bardziej eksperymentalnego, ale one mają swoje miejsce na przykład w Centrum Kultury. Staramy się, żeby w naszym repertuarze znajdowały się spektakle oparte na świetnych tekstach i na bardzo dobrej grze aktorskiej. To są główne wyznaczniki. Ponadto, co istotne, nasz repertuar musi być różnorodny.

Mamy w repertuarze Teatru Starego „Bitwy o kulturę” z tematami, które śmiało mogłyby być tematami studia TVP Kultura.

I częściowo są, bo niektóre z nich są skracane i pokazywane.

I to jest świetny pomysł, bo te spotkania mają bardzo wysoki poziom merytoryczny. Tylko odnoszę wrażenie, że są mało lubelskie. Odbywają się w teatrze wplecionym

architektonicznie w tkankę lubelskiej starówki, ale mało lubelskim w prezentowaniu lokalnych twórców czy tematów.

Mam świadomość, że oferta w tym mieście jest bardzo bogata i lubelska kultura jest obecna w propozycjach innych instytucji. A nasza strategia wynika z chęci uzupełnienia tej oferty. Nieprzypadkowo dobraliśmy kuratorów spoza Lublina – zależało nam, żeby to były osoby, które jeżdżą po festiwalach, mają trochę inne kontakty niż my wszyscy w Lublinie, które być może trochę inaczej myślą i patrzą na Lublin z innej perspektywy. Jeśli chodzi o debaty, to tutaj dałam wolną rękę Krzysztofowi Vardze. Jestem wielką fanką jego felietonów i podzielam jego sposób myślenia „wszystkożery kulturalnego”, czyli osoby, która interesuje się bardzo różnymi dziedzinami i często pisze o filmie czy o teatrze nie jako specjalista, a jako widz. Chciałam, żeby właśnie taka osoba postawiła tematy i zadawała pytania swoim gościom. Wśród nich pojawiają się również postaci lubelskiej kultury, ale faktycznie ich obecność nie jest dominująca. Celowo działamy w taki sposób, żeby przedstawić lubelskiej publiczności postaci z polskiej kultury, bo oprócz tego, że działamy w Lublinie, funkcjonujemy w określonej rzeczywistości kulturalnej całego kraju. Natomiast kiedy realizujemy własne produkcje, zależy mi na tym, żeby nie brał w nich udziału tylko zbiór osobowości z kraju, ale żeby projekty te były związane z Lublinem. Stąd w *Wieczorem* wziął udział Włodek Pawlik, który napisał muzykę do wierszy lubelskiego poety Józefa Czechowicza, całość wyreżyserował Janusz Opryński, a śpiewali nie tylko Dorota Miśkiewicz i Kuba Badach, ale też wielu wyko-

nawców z Lublina. *Skarb* Leszka Mądzika jest od początku do końca lubelski. Przy okazji realizacji *Machii* poprosiłam Juliusza Machulskiego, żeby przyjrzał się lubelskim aktorom i zagrała Marta Ledwoń, stąd jest też kompozytor muzyki – Piotr Selim. A wracając do debat, tak je układaliśmy, żeby prowadzącymi były osoby zainteresowane tematem, ale nie wiedzące wszystkiego na ten temat, żeby ta rozmowa nie była hermetyczna.

Byłem kiedyś na takiej dość hermetycznej rozmowie w Teatrze Starym. Zasiadło trzech teatrologów i deliberoowało o spektaklach, których nikt na sali nie widział.

Mam nadzieję, że jednak ta rozmowa nie była aż tak hermetyczna, choćby przez fakt, że staramy się pokazywać widzom fragmenty rejestracji spektakli, o których rozmawiają nasi goście, bo bez tego faktycznie debatę mogłyby śledzić tylko te osoby, które widziały te wszystkie tytuły. A nie o to chodzi. Bardziej specjalistyczne rozmowy oczywiście się zdarzają i być może nie zawsze uda się je poprowadzić tak, żeby dla wszystkich było wszystko jasne, ale mam nadzieję, że nawet wtedy są interesujące i nasi widzowie czegoś się z nich dowiadują. Nigdy nie wiemy, ile publiczność wie na dany temat. Natomiast założenie jest takie, że ta rozmowa ma być zrozumiała dla wszystkich osób potencjalnie zainteresowanych kulturą.

W przypadku, o którym wspominałam nie pokazano fragmentów rejestracji przedstawień. Zarzuca wam się, że jako teatr impresaryjny robicie własne produkcje.

Bo impresaryjność polega również na robieniu własnych produkcji. ▶



fol. Włodzisław Niesiałowski

Po pierwsze chcieliśmy zrobić coś własnego. A po drugie wyprodukowanie spektaklu, a potem granie go dziesięć razy w ciągu roku kosztuje znacznie mniej niż ściąganie dziesięciu różnych spektakli na dwie prezentacje. Chcieliśmy też, żeby Teatr Stary wyszedł poza mury, żeby te przedstawienia, które robimy, mogły pojechać gdzieś dalej, i żeby Teatr Stary był rozpoznawalny na mapie Polski. Bardzo cieszę się, że *Machia* trochę jeździ po kraju. 18 lutego była w Warszawie, a później w Łodzi na Festiwalu Sztuk Przyjemnych i Nieprzyjemnych.

Nawet było takie pytanie na etapie konkursu na stanowisko dyrektora, jak ma działać ten teatr impresaryjny, i jak ma być widoczny poza Lublinem. To był jeden z punktów, które przedstawiłam w konkursie. Jestem związana umową i mam zrealizować swój projekt konkursowy, więc go realizuję.

Do kiedy ma Pani umowę?

Do marca 2016 roku.

Chciałaby Pani dalej pełnić tę funkcję?

To jest rola, którą bardzo lubię. Bardzo lubię swoją pracę i to miejsce. Mam do niego stosunek emocjonalny, więc nigdy nie będę narzekać na pracę, która daje mi wiele radości i satysfakcji. Więc tak, chciałabym, ale jest to decyzja prezydenta miasta, czy tu dalej zostanie. ■

Współpraca przy przygotowaniu oraz redagowaniu rozmowy: Maciej Bielaak.



fol. Dorota Awierko

COTYGODNIOWA WALKA

MARTYNA ZIĘBA

Nie ma rozlewu krwi, cierpienia, huku strzałów, a jednak w Lublinie rozgrywają się bitwy. W każdy wtorek o godzinie osiemnastej w Teatrze Starym odbywają się spotkania, podczas których zaproszeni goście oraz przybyli widzowie dyskutują na tematy dotyczące zjawisk obecnych w kulturze i literaturze. Czym jest rzeczywista wirtualność? Jak łatwo paść ofiarą mistyfikacji? A to tylko dwie kwestie poruszane na marcowych „Bitwach o kulturę”.

Według polskiego psychiatry i filozofa Antoniego Kępińskiego „kultura to miłość do świata”. Po przeczytaniu komentarzy na dowolnej stronie internetowej trudno jednak zgodzić się z Kępińskim. W wypowiedziach internautów występuje najczęściej – zaraz po licznych zapożyczeniach z języka angielskiego – język nienawiści. To zagadnienie było tematem jednej z „Bitew o kulturę” pod tytułem *W świecie hejtu*. Prowadzący spotkanie Łukasz Drewniak i jego gość, doktor socjologii Marek Troszyński, w swoich rozważaniach nie skupili się jedynie na wątku hejtu. Nazywanie Internetu rzeczywistością wirtualną jest już nieadekwatne. Trafniejszym terminem okazuje się bowiem wprowadzona przez socjologa Manuela Castellsa, „rzeczywista wirtualność”. Internet dawno przejął funkcje pozostałych mass mediów: uzależnia od siebie wiele instytucji, a nawet zaczyna stawać się „kulturowym dyktatorem”. O czym świadczy obecność hejtu w internetowej kulturze? Troszyński zwrócił uwagę na to, że internauci zapominają o udziale w tworzeniu Internetu. Czy internetowa kultura ulegnie zmianie? Zależy to od nas – internautów właśnie.

W czasach, kiedy większość ludzi ma dostęp do Internetu i każdy może udostępniać treści, niezwykle łatwo paść ofiarą oszustwa. Jedną z marcowych Bitew o literaturę dotyczyła właśnie mistyfikacji. Tematem spotkania nie było oszustwo popełnione wspólnie, ale dwa wieki wcześniej. Rozmowa Grażyny Lutosławskiej z pisarzem Jackiem Dehnelem dotyczyła przełożonej klasztoru bazyliańek, niejkiej Makryny, w której zmyśloną historię uwierzyło dwóch papieży, a jej losy opisał Juliusz Słowacki w poemacie *Makryna Mieczysławska*. W rzeczywistości nazywała się Irena Wińczowa i nie była zakonnicą. Dehnel, autor powieści *Matka Makryna*, zwraca uwagę na to, jakie taktyki stosowała Wińczowa, żeby słuchacz jej zaufał. Makryna została zdemaskowana dopiero w 1923 roku. Ciekawe, ile podobnych oszustw jeszcze nie zostało odkrytych...

W maju Teatr Stary organizuje kolejne „Bitwy o kulturę” i literaturę. Rozmowy będą dotyczyły kina polskiego, powieści historycznych oraz nowej książki Krzysztofa Vargi. ■

Martyna Zięba – uczennica Zespołu Szkół nr 2 im. Pawła Karola Sanguszki w Lubartowie.



fol. Dorota Awierko

BAJKA DLA DZIECI CZY DLA DOROSŁYCH?

MAGDALENA KUSA



foto Maciej Kulasz



foto. Przemek Bałtor

O SŁONIU DOMINIKU

MAJA OSTROWSKA

„Jak to będzie, kiedy was już nie będzie?” – to dość poważne pytanie, jak na początek bajki. A dzieciństwo to przecież czas beztrudny.

A jeśli ojciec odszedł i „poszedł na dno”, matka choruje, ciotka jest zajęta, a wuj ciągle pijany? Z perspektywy dziecka wygląda to jednak inaczej. Ośmioletni bohater, którego chronią marzenia i wyobrażenia, wyrusza na poszukiwania taty-pirata. Po drodze spotyka smutną księżniczkę, gotową poznać miłość swojego życia.

Spektakl oddziałuje na wyobraźnię widza, chociaż dorosły odbiorca musi podjąć wysiłek, aby zobaczyć świat oczami dziecka, granego z dużą dozą chłopięcego entuzjazmu przez Kacpra Kubca. Całą scenografię tworzą bowiem obrotowe krzesła, kilka ławek i wieszak na ubrania, które stają się kolejno: domem, szkołą, statkiem, wyspą. To także popis możliwości aktorskich, bo poza parą głównych bohaterów, każdy aktor wciela się tu w kilkanaście różnych postaci. Szczególnie wyrazistą i dynamiczną osobowość sceniczną pokazał Jarosław Tomica. Na uwagę zasługuje także sam język tekstu, konkretny i metaforyczny zarazem.

Sztuka Marty Guśniewskiej to traktat o czasie i dorastaniu. Dorosłym łatwo zostać, wystarczy oddać kilka słonych łez, zamknąć oczy i wyrzec się pragnień. Trudniej być dorosłym, a jednocześnie szczęśliwym, odnaleźć sens i pogodzić się z tym, że nasz czas ma swój kres. ■

Centrum Kultury w Lublinie
Ony Marty Guśniewskiej
Premiera: 28 lutego 2015 roku
Autor: Marta Guśniewska,
Reżyseria: Daniel Adamczyk

Z pewnością większość małych chłopców chce być najwyższymi i najsilniejszymi wśród swoich rówieśników. Ludwik Jerzy Kern w *Proszę słońca* opowiada historię Pinia, który jest właśnie najmniejszy w swojej klasie. Staje się to zresztą okropnym zmartwieniem dla jego rodziców. Każdego dnia podają mu mnóstwo witamin „na rośnięcie”. Pinio jest niestety nieposłusznym chłopcem i wrzuca tabletki do trąby porcelanowego słońca, którego znalazł na strychu. Za zgodą rodziców stawia go na półce swojego pokoju i od tej pory staje się on jego najlepszym przyjacielem. Ku naszemu zdziwieniu słoń Dominik... zaczyna rosnąć i zajmować całą kuchnię! Mało tego, rusza uszami, chodzi, a nawet mówi, wzbudzając tym zainteresowanie spokojnych mieszkańców całego miasta oraz czarnych charakterów. Akcja nabiera dramatyzmu z momentem pojawienia się na scenie dwóch rzeźmięszków. Podają oni Dominikowi tabletki nasenne i postawiają odciąż słońcowi kły! Jednak z opresji ratuje go dzielna mrówka Funcia. Wieść o największym porcelanowym słońcu szybko się rozchodzi. Dominika kupuje Lady Grejtest. Pragnie go wykorzystać do jednego z pokazów mody. Słoń zostaje zamknięty w ogromnej klatce. Smutek, który przepełnia Pinia, powoduje że Dominik powraca do swych dawnych rozmiarów i wraca na półkę w pokoju.

Reżyser Arkadiusz Klucznik postanowił przenieść bajkę młodzińskich lat moich rodziców na deski prowadzonego przez siebie Teatru im. H. Ch. Andersena. Dariusz Panas stworzył scenografię nieco przerysowaną, wyrazistą, pełną

kolorów i ruchomych elementów. Miejsca, w których rozgrywa się akcja, są niczym wyjęte z kreskówki, a animowany stoł rzeczywiście porusza trąbą i nogami. Muzyka Piotra Nazaruka oraz choreografia Urszuli Pietrzak stanowią dopełnienie fabuły, a przy tym sprawiają, że dzieci doskonale się bawią. Uśmiechy na twarzach wywołuje wygląd postaci: niemal wszystkie mają na sobie komiczne maski z wielkimi nosami i uszami. W niektórych momentach aktorzy schodzą ze sceny, nawiązując w ten sposób kontakt z widownią i wzbudzając jeszcze większe zainteresowanie odbiorców.

Proszę słońca z pewnością trafią nie tylko do dziecięcej widowni, ale też wypełnią wspomnieniami starszych widzów. Rozbawiające, pokazujące siłę przyjaźni widowisko jest idealną pozycją dla osób w każdym wieku. ■

Maja Ostrowska – uczennica I Liceum Ogólnokształcącego im. Tadeusza Kościuszki w Kraśniku.

Teatr im. H. Ch. Andersena
Proszę słońca Ludwika Jerzego Kerna
Premiera: 14 marca 2015 roku
Adaptacja i reżyseria: Arkadiusz Klucznik
Scenografia – Dariusz Panas
Muzyka – Piotr Nazaruk
Choreografia – Urszula Pietrzak

DROGA MELPOMENO

JANUSZ ŁAGODZIŃSKI



fol. Natalia Giza

O BYCIU TWÓRCĄ I TWORZYWEM

Droga Melpomeno,

podopieczni Twoich sióstr, zajmujący się innymi gatunkami Sztuki, często dość bezceremonialnie obchodzą się ze swoimi dziełami. Dążąc do idealnej kompozycji muzycznej, powieści czy obrazu po drodze niszczą swoje mniej udane prace, kreślą, zaczynają od nowa. Czy tak samo rzecz się ma z Twoimi wyznawcami? Czy reżyser ma prawo zrezygnować z usług aktora podczas prób, jeśli ten nie gwarantuje mu wymaganego poziomu czy charakteru? Kiedyś w regulaminach teatralnych był zapis, że może to zrobić do 10 prób. Tyle miał czasu na korektę obsady. Mam jednak w pamięci zdarzenie sprzed lat, które każe zastanowić się nad słusznością tego zapisu.

Pracowaliśmy wtedy w stołecznym Teatrze Rozmaitości nad *Bzikiem tropikalnym* Witkacego z ówczesnym debiutantem Grzegorzem Jarzyną. Wiedzieliśmy, że jest to postać nietuzinkowa, ale po dwóch miesiącach prób zaszokował nas swoją decyzją o wymianie aktorki grającej główną rolę kobiecą. Grzegorz doszedł do wniosku, że aby uzyskać dwoistość postaci, jej arystokratyczność połączoną z podskórnym erotyzmem, musi pozebrać się z naszą koleżanką, bardzo dobrą aktorką. Maja Ostaszewska zagrała tę rolę brawurowo. Spektakl został okrzyknięty wydarzeniem, graliśmy go dziesięć lat przy pełnych widowniach, zjeździliśmy z sukcesami wiele festiwali zagranicznych i krajowych. Decyzję Jarzyny obronił sukces artystyczny. Wątpliwości jednak pozostają. Bo nasza wykluczona koleżanka nie jest kartką papieru czy kawałkiem naciągniętego płótna. Jest przecież żywą, boleśnie dotkniętą osobą.

Wiem o czym mówię, bo sam kiedyś byłem tą zmiętą kartką papieru nutowego. Pracując nad *Fantazym* zostałem obsadzony wbrew obowiązującym kanonom w roli Rzecznickiego. Byłem młodym człowiekiem. Na skutek różnych perturbacji reżyserię po dwóch miesiącach pracy przejął dyrektor Grabowski. Powiedział, że

aby być w zgodzie z własnym sumieniem, musi zmienić częściowo obsadę, między innymi zostawił nas w dublerze. Byłem załamany. Odrzucony! Niechciany! Po tygodniu przyszło otrzeźwienie. Przypomniałem sobie maksymę, że „co nas nie zabije, to nas wzmocni” i zabrałem się do roboty. Efekt był taki, że Mikołaj zrezygnował z dublury Rzecznickiego i grałem tę postać do zgrania tytułu. Można powiedzieć *happy end*. Ale i szczepionka na całe życie. Bo bycie twórcą i jednocześnie tworzywem bywa bolesne i wymaga czasem dużej odporności. ■

Janusz Łagodziński – aktor teatralny i filmowy, od sezonu 2013/2014 w zespole Teatru Osterwy.

MĘCZEŃSTWA RECENZORA

Trudne jest życie Recenzenta. Zwłaszcza etatowego. Szczególnie młodego-etatowego. Musi się bowiem wykazać, wyróżnić, dać zapamiętać. Coby mu ten etat nie uciekł. Pisuje więc o kierowcach parujących w niedozwolonych miejscach, o przygotowaniu stoków narciarskich na sezon zimowy, nowych apartamentowcach, tudzież zaśmieconych cmentarzach. O wszystkich tych codziennych bolączkach miejskich, o których bardziej zasłużeńi recenzenci teatralni pisywać nie chcieli. Przez co etaty potracili. Młody nasz Recenzent etatu utracić nie chce. Kiedy zatem obleci już wszystkie nowinki rodzajowe, zakłada wieniec z winorośli na skroń, by wspólnie z... Melpomeną odśpiewać swą teatralną recenzję.

I tak pewnego dnia, zachnąwszy się na wszystkich pozostałych pismaków lokalnych, jako narybek wyczuwający konieczność wyróżnienia się na tle pozostałego bajorka, ciska na podobieństwo Zeusa swój pierwszy grom. Skład gromu to głównie niewesoła konkluzja, że dotychczasowa gwardia naszych recenzentów stetryczała. Powypadały jej zęby służące do kłosa artystów, którzy z kolei stracili czujny ogląd rzeczywistości i teraz jedni



fol. Archiwum autora

PASZTET Z KRYTYKA

ŁUKASZ WITT-MICHAŁOWSKI

drugich liżą po dupach, a sztuka wskutek tych praktyk umiera.

Wobec tego niewesołego stanu rzeczy, Recenzent nasz staje się *Astreą* – boginią sprawiedliwości. Uważa, że potrzeba nam kogoś, kto wyjaśni, objaśni, a najczęściej dojaśni, blask, ogień roznieci, noc gminu oświeci. W zadaniu tym trudnym widzi swą osobistą misję młody nasz Recenzent: „Czasem kultura broni się sama, części trzeba jej w tym pomóc” – mawia. I pomagać teje kulturze nasz Recenzent zaczyna.

Podsumowując sezon teatralny, utyskuje na brak premier wybitnych oraz o randze wydarzenia. Pocziwiec za jedno z najważniejszych osiągnięć teatralnych roku uznał przedstawienie, w którym, jak sam pisze: „[reżyser] świetnie wyczuł ten dramat. Każdy moment, w którym [autor] puszcza oko lub uderza w twarz, reżyser przenosi jeden do jednego na scenę”. Otóż, mój miły Recenzencie: przenoszenie jeden do jednego tekstu na scenę to zabójstwo, uproszczenie, brak pomysłu, droga na skróty, deprecjonowanie i kpina z widza, oszustwo, huca. Czym innym jest wsłuchiwanie się w tekst, a czym innym ilustrowanie go. A jeszcze czym innym, Drogi Panie, odrabianie pracy domowej, jaką jest zapoznanie się z treścią sztuki, najlepiej w drodze jej lektury, jeszcze przed pójściem na spektakl. Dostrzegłby Pan wtedy różnicę jaka wypływa z uwag od autorów, tak zwanych didaskaliów, od scenicznej realizacji tekstu, czyli inscenizacji.

Bowiem, gdy widzi Pan w spektaklu jak postać prowadzi rozgrzewkę z pozostałymi postaciami lub inna gra na gitarze, a reszta śpiewa wraz z nią – mylnie bierze Pan pomysł autora wpisany w literę dzieła za interpretację reżysera teje sztuki, czyniąc tym samym znak równości pomiędzy wybitnym tekstem o randze wydarzenia a jego inscenizacją.

Ale, jak mawia mój ulubiony klasyk: „Jaki staw – takie rusalki”. ■

Łukasz Witt-Michałowski – reżyser teatralny, założyciel i dyrektor lubelskiej Sceny Prapremier InVitro.